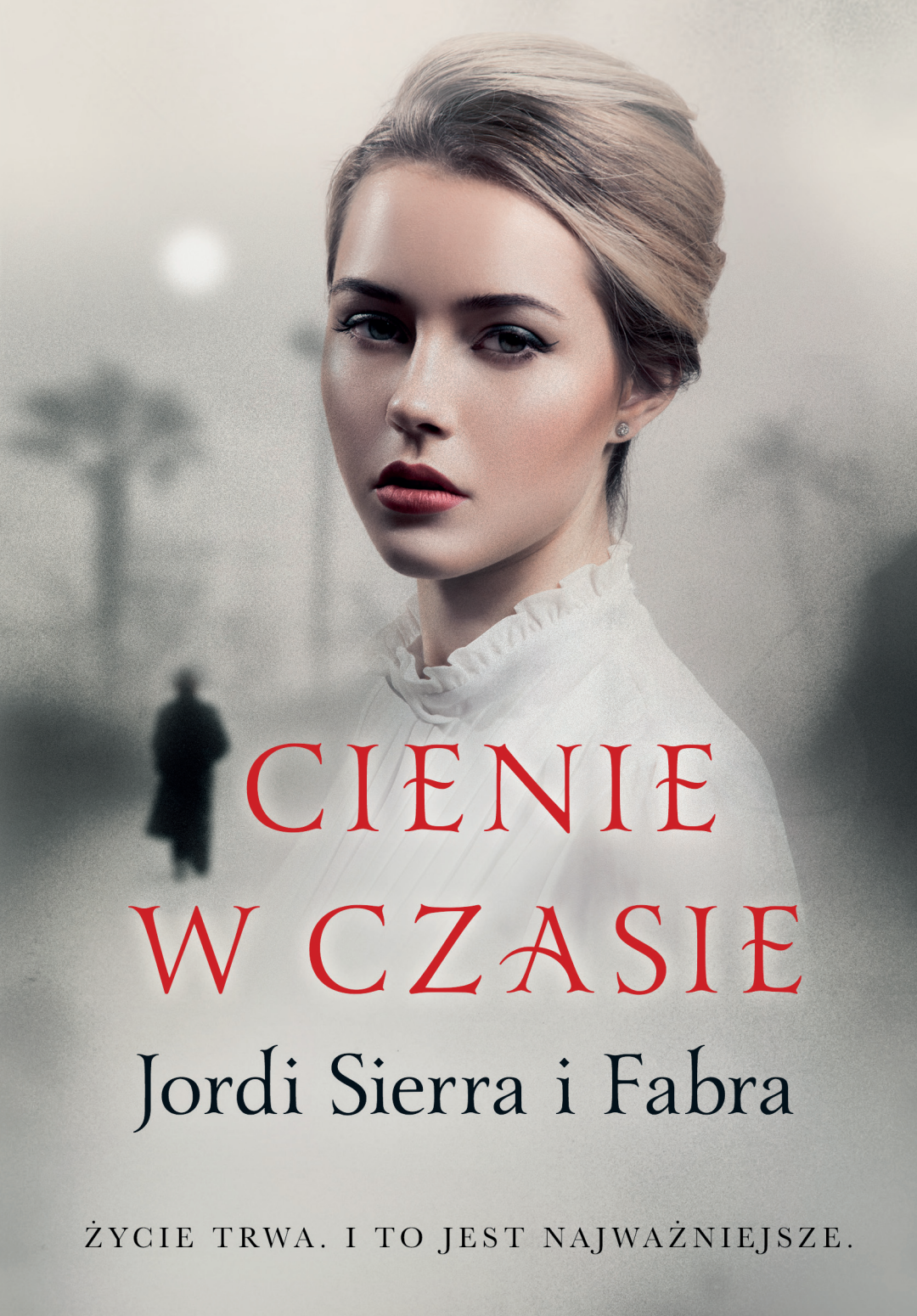




CIEŃIE W CZASIE

Jordi Sierra i Fabra

ŻYCIE TRWA. I TO JEST NAJWAŻNIEJSZE.

*Krewnym Antonii,
których wspomnienia
stanowią część tej książki*

CZĘŚĆ PIERWSZA

1949

1

Stali z rękami i nosami przyklejonymi do okna na długo przed tym, zanim pociąg zaczął zwalniać, by wtłoczyć się z łoskotem kół w labirynt torów.

- Jakie ogromne miasto!
- Patrz na te wysokie domy!
- Nie widać morza!

Zmęczenie minęło jak ręką odjął. Cecha młodości.

Matka była skonana.

– Usiądźcie, bo pociąg może nagle zahamować i się przewrócić.

Nie posłuchali.

Za szybą przesuwała się Barcelona. Ich wytęsknione miasto. Ostatni etap długiej podróży.

Początek nowego życia.

– Mamo, popatrz...

Salvador szalał z radości, Úrsula była cała w nerwach, a Fuensanta – zadumana, poważna i milcząca jak zwykle, lecz jej oczy mówiły wszystko.

Więcej niż słowa.

Carmen nie nalegała i pozwoliła dzieciom się cieszyć, sama zaś utkwiała wzrok w towarzyszach podróży zajmujących drewniane ławki po obu stronach przejścia. Mężczyzna o spłoszonym spojrzeniu, w czapce nasuniętej głęboko na czoło, kobieta z zaczerwienionymi oczami i bladą twarzą, rekrut o wychudłych policzkach, w mundurze pogniecionym i za dużym co najmniej

o dwa rozmiary, małomówna para, która praktycznie przez cały czas sztywno trzymała się pod rękę, co nie było najwygodniejszą pozycją w trzęsącym się pociągu...

Chwilami Carmen czuła zażenowanie z powodu nieustannej paplaniny Úrsuli i wierzącego się niespokojnie Salvadora.

Ale cóż, taka jest młodość.

Pełna energii...

– Długo jeszcze?

Matka po raz pierwszy odezwała się do nich ostro:

– Usiądźcie wreszcie!

– Słyszeliście, co powiedziała mama? – wsparła ją Fuensanta.

Pociąg toczył się powoli. Monotonna płatanina torów. Lokomotywa po raz ostatni buchnęła kłębami pary i z bezsilnym charkotem zatrzymała się pod ogromną kopułą dworcową.

Ich długa podróż dobiegła końca.

Tak długa, jakby przemierzyli pół świata.

– Pośpieszcie się, tata na nas czeka. – Zabrzmiało to jak rozkaz.

Mężczyzna o spłoszonym spojrzeniu i w czapce wciśniętej na czoło chwycił starą, obwiązaną sznurkiem walizkę i pierwszy ruszył do wyjścia. Kobieta o zaczerwienionych oczach i bladej twarzy sama, bez niczyjej pomocy, podniosła dwa wielkie toboły zawinięte w płachtę. Załęczniona para, która nie odstępowała siebie ani na krok, zajęła się swoimi dwiema walizkami i przykrytym zniszczoną kapą koszem. Natomiast rekrut o wychudłej twarzy podszedł do nich. Wcześniej rzucał ukradkowe spojrzenia na Fuensantę i Úrsulę, dłużej zatrzymując wzrok na tej pierwszej, która spodobała mu się jako starsza i bardziej kobieca.

Nawet bardzo.

– Może pomóc?

– Nie, dziękujemy. Damy sobie radę, jest nas czworo.

– Jak chcecie.

Ostatnie spojrzenie. Fuensanta odwróciła głowę w drugą stronę. Statki, które mijają się nocą... Była najwyższa z rodziny, toteż szybko zdjęła z góry trzy walizki i dwa tobołki. Kiedy znalazła się w przejściu, nie było już widać rekruta, wagon powoli pustoszał.

– Nie trzęś tak walizką, bo się otworzy i wszystko wysypie się na podłogę – powiedziała Carmen do syna.

– Ja wezmę najcięższą – zgłosiła się Úrsula.

– Zostaw ją dla mnie. Weź tę i tobołek – zdecydowała Fuensanta.

Dotarłszy do platformy wagonu, zeszli po trzech stopniach i zrobili pierwszy krok na tej ziemi. Dworzec Estación de Francia był ogromny i hałaśliwy. Pachniał pociągami i życiem. Pachniał smarem i czasem.

Gdzieś tam za peronami czeka na nich Antonio.

Nie widzieli się przez cztery lata.

Szmat straconego czasu.

Carmen podniosła głowę, jakby miała go nagle zobaczyć. Fuensanta pomyślała o tym samym, naśladowując matkę. Natomiast Úrsula i Salvador podziwiali wysokie zadaszanie dworca, pierwsze kontury nieznanej im Barcelony i wchłaniali ten potężny ładunek brutalnej energii w chwili, która na zawsze pozostanie w ich pamięci.

Carmen znowu wzięła sprawy w swoje ręce.

– Nie wolno wam się rozdzielać, jasne?

Przeszli kawałek, zaledwie kilka metrów.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiło się przed nimi dwóch mężczyzn w garniturach, ze srogimi minami.

Żadne z nich nie zwróciłyby na nich uwagi, gdyby nie to, że jeden mężczyzna przeciął im drogę, a drugi podniósł klapę marynarki, aby pokazać znaczek.

– Dokumenty!

– Co pan mówi?

– Dokumenty!

– Mój mąż wyszedł po nas i...

– Wasze dokumenty. – Miał władczy ton głosu. Nieznoszący sprzeciwu.

– Chwileczkę.

Musiała się pochylić, rozwiązać swój tobołek i poszperać w dwóch pudłach z przegródkami, w które włożyła najniezbędniejsze rzeczy, gdyż wszystkiego nie dało się zabrać. Kiedy się podniosła, wręczyła im wszystkie dokumenty, jakie miała. Nawet książeczkę zdrowia.

– Skąd przyjeżdżacie?

– Z Murcji.

– A konkretnie?

– Z Isla Plana. To znaczy z Mazarrón, chociaż ja urodziłam się w...

– Gdzie przepustki?

– Jak pan mówi?

– Nie słyszy pani? Przepustki!

– Nic więcej nie mam, tylko to. – Wskazała na plik papierów, które on trzymał w ręku.

– Wobec tego pójdziecie z nami. – Mężczyzna wziął ją za ramię.

– Z wami? A dokąd?

– Zaraz pani zobaczy.

Jego ręka trzymała ją jak szpony drapieżnego ptaka. Drugi mężczyzna chwycił za ramię Salvadora.

– Przyjechałam z dziećmi do męża. Mamy zapewnioną pracę...

– Carmen zachwiała się, jak przygnieciona ogromnym ciężarem, i mówiła dalej nieskładnie: – Mój mąż jest tu ze swoim kuzynem, znaleźli dla nas pracę, to znaczy dla córek i dla mnie, bo chłopiec pójdzie do szkoły. Mąż miał po nas wyjść, na pewno gdzieś tu czeka... On wam wszystko wyjaśni... Mamy gdzie mieszkać... Niech pan posłucha...

Mężczyzna pociągnął ją za sobą. Już nie słuchał.

– Pilnuj, żeby nam nie uciekli – powiedział do drugiego.

– Mamo... – wystraszył się Salvador.

– Idziemy!

– Nie możecie nam tego zrobić... Co się dzieje? Dokąd nas zabieracie?

– Nie rozumiem, na co oni wszyscy liczą, przyjeżdżając bez grosza przy duszy, czego tu szukają. – Mężczyzna mówił głośno, choć nie zwracał się bezpośrednio do niej. – Jak tak dalej pójdzie...

– Przyjechaliśmy, bo tutaj jest praca – odezwała się po raz pierwszy Fuensanta. – A tam, skąd pochodzimy, tylko głód.

Pierwszy mężczyzna przystanął. Nie puścił ramienia Carmen. Spojrzał na dziewczynę i jego surowa twarz przyoblekła się w twardą, okrutną maskę.

– W naszej Hiszpanii nikt nie umiera z głodu, dziewczyno.

Cedził słowa, jakby chciał jej napluć w twarz.

Ale najgorszy był wyraz jego oczu.

– Proszę... – raz jeszcze jęknęła błagalnie Carmen.

Antonio miał pewność, że ich widział.

Byli na peronie, szli w kierunku wyjścia prawie na samym końcu pstrokatego tłumu.

Nareszcie razem.

Przymknął na chwilę oczy albo tylko przesunął dłonią po twarzy, oddychając z ulgą.

I nagle...

Już ich nie zobaczył.

Ale to na pewno byli oni. Nie mógł się mylić. Carmen miała na sobie tę swoją ładną sukienkę z dnia ślubu. Pamiętał, że uszyła ją wtedy w pośpiechu z materiału kupionego na targu, bo nie było czasu na przygotowania. Ślub musiał odbyć się jak najszybciej. Cóрка pani Honorii była w poważnym stanie z wyraźnie zarysowanym brzuchem. Stara ta sukienka, pewnie już bardzo zniszczona... Obok Carmen szła Fuensanta, wysoka i szczupła, już panna, nie dziewczynka. Dalej Úrsula, jego oczko w głowie. I Salvador w krótkich spodniach nastolatka. Byli wszyscy oprócz Ginesa, który pełnił służbę wojskową.

Cała rodzina.

– Gdzie się mogli podziać? – wybąkał zdziwiony.

Wychodzili ostatni pasażerowie, niosąc swoje bagaże, walizki, tobołki, pudła przewiązane sznurkami, a w nich wszystko, co dało się zapakować. Wyszli i rozproszyli się na stacji, odnajdując swoich najbliższych lub kierując się prosto do wyjścia na ulicę.

To niemożliwe, żeby się zgubili.

– Przepraszam, nie widział pan takiej ładnej kobiety z dwiema dziewczynkami i chłopcem?

– Niestety nie.

– Przyjechali w jednym z ostatnich wagonów. Widziałem, jak wysiadali...

– Nie przypominam sobie.

Zastygł z przerażenia, zakręciło mu się w głowie. Czyżby wzrok spletał mu figla? Może to było zwykłe przywidzenie? Ale nie, przecież nie cierpi na omamy.

Podszedł do kolejarza, który zamykał pochód najwolniejszych pasażerów.

– Pan wybaczy. – Zmiał czapkę w dużych silnych dłoniach. – Czy jest tu jakieś inne wyjście z dworca?

– Nie, tylko to.

– Czekam na żonę i dzieci... Chłopiec i dwie dziewczynki. Na pewno przyjechali tym pociągiem. Wydawało mi się nawet, że ich widziałem na peronie, ale potem...

– Dokumenty mieli w porządku?

– Chyba tak...

– A przepustki?

– Przyjechali z Murcji.

– Nieważne skąd. – Kolarz miał twardy, zmęczony głos. – Bez przepustki nic nie można zrobić w razie kontroli. Tak to wygląda. Policja zatrzymuje wiele osób zaraz po wyjściu z pociągu. Jeśli nie mają wszystkich wymaganych dokumentów, zostają deportowani.

– Jak to deportowani? – Antonio zblił.

– Po prostu odsyła się ich z powrotem na miejsce, skąd wyjechali, wsadzają ich do pociągu lub samochodu, zależy od liczby zatrzymanych. Za każdym razem kilka osób wpada podczas kontroli. Policja wybiera podejrzanych i jeśli nie mogą się wylegitymować, odstawia się ich do domu pod eskortą. – W zmęczonym głosie mówiącego zabrzmiały surowe tony. – Gdyby wszyscy jeździli, dokąd chcą, dziś tu, jutro tam, nastąpiłby wielki chaos, rozumie pan?

– Ale moja rodzina ma tutaj załatwioną pracę, tak samo jak ja.

– Jeśli zostali zatrzymani, niech pan tam idzie i udowodni to, co pan mówi. – Pracownik kolei zaczął się niecierpliwić.

– Dokąd mam iść?

– Zatrzymanych najpierw przesłuchuje się w sali dworcowej. A potem czekają na transport powrotny w pałacu Misiones, obok pałacyku Albéniz, na zbozcu góry z zamkiem Montjuich, albo w samym zamku, to zależy. Czasem można ich także znaleźć w grotach Tierra Negra przy szosie do Casa Antúnez.

Antonio był coraz bardziej przerażony.

– To co ja mam zrobić?

– Już panu powiedziałem: szukać. Ale tu nie warto, nie radzę próbować. Nie wpuszczą pana do sali. Policja ma pewien system działań, to się chyba nazywa protokół... – Zmarszczył czoło i

sprecyzował: – No właśnie, protokół oznacza ustaloną kolejność rzeczy. Najpierw jest A, a potem B, rozumie pan?

Nie chciał przyznać, że nie rozumie.

Nie był w stanie pozbierać myśli.

Cztery lata spędzone w samotności, bez żony, bez dzieci nawet na Boże Narodzenie. Cztery lata ciężkiej pracy i czekania na moment, gdy będzie mógł ich tu sprowadzić.

Nadszedł ten moment.

I co teraz?...

Antonio wybiegł z hali dworcowej.

3

Każde z nich przeżywało to przykre zajście na swój sposób, w zależności od temperamentu. Carmen płakała, wyczerpana psychicznie i fizycznie. Przyciskała do siebie zdeorientowanego Salvadora tak mocno, że omal go nie zgmiotła. Úrsula rozglądała się z przerażeniem, natomiast Fuensanta siliła się na obojętność. Częściowo dlatego, że czuła na sobie łapczywe spojrzenia mężczyzn, obmacujących wzrokiem jej ciało od stóp do głów, co nie uszło również uwagi matki. Mała sala, w której się znaleźli, miała zniszczone, cuchnące wilgocią i potem ściany. Przez to miejsce codziennie musiało się przewijać wielu ludzi traktowanych tak samo jak oni.

Jak przestępcy.

– Niech pani przestanie płakać!

– A co mi pozostało? – jęknęła Carmen. – My nie jesteśmy przestępcami. Gdybyście mi pozwolili odszukać męża, on by wam wszystko wyjaśnił...

– Mamy wypuścić panią, ot tak?

– Przecież wam nie ucieknę i nie zostawię dzieci.

– Nie takie rzeczy tu widziałem.

– Więc zaprowadźcie nas do niego. Mam tu zanotowany adres.

– Wolne żarty! – Mężczyzna pokręcił głową w obie strony. – Mamy służyć wam za przewodników? Wypuścić wszystkich czworo?

– Sprawa musi być załatwiona jak należy, jasne? – odezwał się

drugi mężczyzna. – Wsiedliście sobie do pociągu i uważacie, że wszystko jest w porządku. Ale tak się nie postępuje.

– Nie macie prawa...

– Daj spokój, mamó – upomniała ją Fuensanta.

– Radzę posłuchać córki. Wydaje się najrozsądniejsza – powiedział pierwszy mężczyzna.

– Rozsądna i ładna – przytaknął drugi.

– Nie będę milczeć. – Carmen zacisnęła szczęki. – Mój mąż jest murarzem. Przyjechał tu cztery lata temu. Znalazł dobrą pracę w przedsiębiorstwie budowlanym Construcciones Arguindei. Co chcecie jeszcze wiedzieć? Mieszka przy ulicy Tantarantana. Pisał, że to niedaleko dworca. Nie kłamię. Sądziecie, że wyjechałabym z Murcji razem z dziećmi, gdyby on tego nie chciał?

Nie otrzymała odpowiedzi.

Nic innego im nie pozostawało, tylko czekać, na szczęście tym razem krócej.

Do pokoju wszedł trzeci mężczyzna. W lewej ręce trzymał jakąś księgę z formularzami, a w prawej papierosa. Palce środkowy i wskazujący miał mocno pożółkłe. Pożółkłe i szerniałe tak samo jak jego zęby. Nie musiał się uśmiechnąć, żeby było je widać: górną wargę z lewej strony zadzierała szrama biegnąca przez cały policzek aż do ucha. Wyglądało to tak, jakby jedna połowa twarzy się uśmiechała, a druga asystowała przy pogrzebie.

Nowo przybyły odłożył papiery na stół i mocno zaciągnął się papierosem. Wypuszczony z ust dym wypełnił pół sali gęstą mgłą.

Zrobiło się jeszcze bardziej ponuro.

Następnie rzucił peta na podłogę, rozgniatając go czubkiem buta.

– Wypiszcie tu swoje dane. – Otworzył księgę na właściwej stronie. – Tylko wyraźnie!

Carmen spojrzała na ten przedmiot, jakby nigdy dotąd nie widziała czegoś podobnego.

– Słyszysz pani, co mówię? – Odwrócił się do kolegów, żeby zapytać: – Co jej jest?

– Normalka. – Pierwszy mężczyzna wzruszył ramionami.

– To samo co zawsze – zawtórował mu drugi.

– Umie pani pisać?

– Tak – odparła Carmen. – Ale mój syn Salvador ma ładniejszy

charakter pisma.

– No to niech pisze Salvador. – Przesunął książkę w jego stronę i podał mu pióro. Wieczne pióro.

Chłopiec popatrzył na matkę.

– Rób, co każą, synu.

– Nie umiem tym pisać – szepnął onieśmielony.

– Na co czekasz, do cholery! – wybuchnął mężczyzna ze szramą. – Nie mam zamiaru tracić dla was całego dnia! Pisz!

Salvador wziął do ręki pióro.

– Co mam napisać?

– Imiona i nazwiska, wiek, miejsce pochodzenia. Tutaj, tu i tu! – Stuknął palcem w kartkę trzy razy, pokazując wolne rubryki do wypełnienia.

– Podyktuję ci. – Carmen powstrzymywała nowe łzy. – Zaczniemy od ciebie, dobrze? – Poprowadziła dłoń chłopca do punktu, skąd należało rozpocząć wpisywanie: – Salvador Cerón García, jedenaście lat, Mazarrón. Dobrze wiem, że za kilka dni obchodzisz dwunaste urodziny, ale teraz masz jeszcze jedenaście.

– Zaczekała, aż skończy wypełniać swoje dane, po czym kontynuowała: – Úrsula Cerón García, piętnaście lat, Mazarrón.

– Kolejna pauza i dalej: – Fuensanta Cerón García, osiemnaście lat, Mazarrón.

– Masz osiemnaście lat? – zapytał Fuensantę pierwszy mężczyzna.

Spuściła oczy.

– Tak, proszę pana.

– Wyglądasz na starszą.

– Kończmy – przerwała krępującą ciszę matka. – Carmen García Jumilla, trzydzieści osiem lat, Mazarrón.

Salvador napisał ostatni wyraz.

– Okazuje się, że nie było to takie trudne. – Mężczyzna ze szramą wyjął z paczki nowego papierosa i uderzył nim parę razy w stół, zanim podniósł do ust i przypalił zapałką, którą potem, gdy zgasła, rzucił na podłogę. Nie odezwał się, dopóki nie pociągnął pierwszego sztacha. Wtedy oświadczył stanowczo: – Teraz można ich wyprowadzić.

Nowy strach ścisnął serce Carmen.

– Dokąd nas zabieracie? Proszę, bardzo proszę...

Kolana się pod nią ugięły. Fuensanta musiała ją podtrzymać, a Úrsula i Salvador przysunęli się bliżej, żeby ją objąć, i tak pozostali, złączeni w jedno grono.

Pierwszy mężczyzna otworzył drzwi.

Drugi bez skrępowań popchnął ich do wyjścia.

4

Z jednej strony portret Franco. Z drugiej portret papieża. A w środku krucyfiks z wychudzonym, zbolalym Chrystusem; czoło, ręce, piersi, boki, kolana i stopy figury spływały krwią, jakby pomalowano ją pięć minut temu i jeszcze nie zdążyła wyschnąć. Scenografię pokoju dopełniał leżący na stole emblemat z jarzmem i strzałami w formie przycisku do papieru.

Całość sprawiała dość ponure wrażenie.

– Mógłby mi pan przynajmniej powiedzieć, czy moja rodzina tu jeszcze jest?

Mężczyzna siedzący za stołem powoli i z uwagą odczytywał pierwszy z dokumentów.

– Nie mogę, bo tego nie wiem – odrzekł z westchnieniem po kilku sekundach. – To wszystkie dokumenty?

– Co mam jeszcze przynieść? – Antonio poczuł się tak, jakby za chwilę miał zemdleć. – Tu jest dowód, że mamy gdzie mieszkać, ja pracuję, jestem na zarobku.

– Być na zarobku... – Mężczyzna cmoknął ironicznie. – Nie jesteś na wsi, człowieku. Tutaj mówi się na zarobek: pensja, płaca, pobory... Od czterech lat w Barcelonie?

– Tak, przyjechałem w czterdziestym piątym.

– Aha. – Znowu rzucił okiem na papiery. Jakby to była pasjonująca lektura.

– Mój starszy syn jest teraz w wojsku w Kartagenie. Dołączy do nas po odbyciu służby. Fuensanta będzie pracować w Hispano Olivetti, to już uzgodnione, bo żona mojego kuzyna właśnie tam pracuje i załatwiła dla niej dobre stanowisko. Na Úrsulę czeka praca służącej w jednym domu, dla mojej żony również znalazła się posada służącej, w innym domu. Chłopiec pójdzie do szkoły. Ma głowę do nauki.

– Skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie, mówiąc o Hispano Olivetti i tych domach do sprzątnia?

– Dlaczego miałbym kłamać?

– Chce pan, żebym uwierzył panu na słowo.

– Tak, jestem uczciwym człowiekiem i w każdej chwili mogę dostarczyć pisemne potwierdzenie dotyczące tej obiecanej pracy. Tylko nie wyrzucajcie stąd mojej rodziny... Wydałem dużo pieniędzy na ich podróż... Nie wiedziałem o przepustkach. Myślałem, że wystarczy udowodnić, że mamy gdzie mieszkać... pracy w Barcelonie nie brakuje.

– Myślałem, myślałem... – Mężczyzna parsknął jak foka i poruszył wąsami. – Lepiej, żeby pan nic nie myślał. Decyzja należy do mnie.

– Tak jest.

Nowa pauza była krótsza.

– Znaczący, wszyscy do Barcelony – mruknął, patrząc mu w oczy.

– Tak, proszę pana.

– A co z waszym rodzinnym regionem?

Antonio nie odezwał się.

– Jak tak dalej pójdzie, nikt tam nie zostanie, ma pan pojęcie?

Wiedział, że w grę wchodzi los jego rodziny i jego własny. Nie wytrzyma bez nich dłużej. Muszą być razem. Ten wąsaty człowiek za małym drewnianym stołem pod krzyżem, w otoczeniu dwóch wiszących portretów, z emblematem z jarzmem i strzałami wyznaczającym jego horyzont, dzierżył w rękach władzę absolutną i klucz do kolejnej zmiany w ich życiu.

Antonio spojrzał na portret Franco przedstawionego z ojcowskim wyrazem twarzy.

Ta twarz zdawała się uśmiechać.

– Niech pan tu zaczeka. – Mężczyzna wstał, zrobił trzy kroki do drzwi po swojej prawej stronie i wyszedł. Antonio został sam.

Sam ze swoimi upiorami.

5

Carmen oparła głowę o ścianę i tuląc do siebie śpiącego Salvadora, popatrzyła na córki.

To była dla nich pierwsza wielka podróż. Dotychczas jeździły co najwyżej do Kartageny, chociaż nie... raz, jeden jedyny raz wybrały się aż do Murcji, co stanowiło niezwykle wydarzenie w ich życiu.

Tym razem przejechały za jednym zamachem pół Hiszpanii.

Spędziły wiele godzin w znoju i niepewności przeplatanej z nadzieją... wszystko na próżno.

Antonio na pewno szaleje już z niepokoju.

Na uśmiechniętej zazwyczaj twarzy Úrsuli pojawił się strach. Aż dziw, że była taka wrażliwa i podatna na ból. Teraz wyglądała jak podcięty kwiat. Natomiast Fuensanta sprawiała wrażenie obrażonej mimo wyczuwalnego napięcia. Jej rysy nabrały twardości.

Napotkała spojrzenie matki. Nie uciekła wzrokiem.

– I po co było wyjeżdżać. – Westchnęła.

– A co miałyśmy zrobić?

Córka nie odpowiedziała.

– Ojciec przyjechał tu dla was – przypomniała Carmen. – Chciał zapewnić wam lepsze życie. Ciężko pracował, żeby móc sprowadzić nas do siebie. Pamiętaj o tym.

– Odciecie się od własnych korzeni nigdy nie wychodzi na dobre.

– Nie mów tak. Najważniejsze, żebyśmy byli razem. Słońce wschodzi dla wszystkich czy to w Barcelonie, czy w Mazarrón.

– Wschodzi dla wszystkich, ale nie grzeje tak samo.

Do rozmowy wtrąciła się kobieta siedząca tak jak oni na podłodze jakieś trzy metry dalej.

– Dziewczyna ma rację – stwierdziła. – Wystarczy popatrzeć, co się dzieje. Katalończycy przegrali wojnę, ale znowu są panami sytuacji. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Carmen przemilczała tę uwagę.

– A pani skąd przyjechała? – zagadnęła Úrsula.

– Z Badajoz.

– Dawno?

– Dwa dni temu.

– Wybrała się pani w podróż sama? – Úrsula wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Mąż poległ na wojnie. O synu nie wiem nic oprócz tego, że pod koniec wojny znalazł się w Barcelonie. Nie przyjechałam tu

za pracą, tylko żeby go odszukać. – Powściągliwy uśmiech ukazał w jej ustach dwie szczerby po zębach. – Te cholerne przepustki... Że też musiało trafić na mnie. Pechowy los!

– Wierzy pani w szczęście i pecha? – spytała Fuensanta.

– Tak – potwierdziła kobieta.

– Nie znam żadnego pechowego bogacza ani szczęśliwego biedaka.

– Na peronie było trzech mężczyzn. Z tyłu za mną siedział człowiek, który podróżował w tym samym przedziale co ja. Dwóch mężczyzn podeszło do mnie, a trzeci skierował się do niego. Dzielili nas tylko dwa kroki. To przesądziło o wszystkim. Gdyby ten podróżny siedział przede mną, ci dwaj zatrzymaliby jego, a ja miałabym do czynienia z tym trzecim.

– I co by to zmieniło?

– Nie byłoby mnie tutaj i nie czekałabym na deportację. Temu podróżnemu się udało. Tak długo płakał i przysięgał, że jest chory, umrze, jeśli nie znajdzie tu pomocy, aż wreszcie tajniak, czy kimkolwiek był ten trzeci mężczyzna, pokazał na drzwi, mówiąc, że daje mu pięć sekund na ucieczkę, po czym odwrócił głowę w drugą stronę. Wystarczyły mu trzy sekundy, żeby zniknąć jak błyskawica, chociaż był taki chory i umierający. Natomiast moje łyzy nie zrobiły na tych dwóch żadnego wrażenia.

– To dlatego, że pani jest kobietą – oświadczyła Fuensanta.

– I co, boją się, że w Barcelonie trafię na ulicę? Zostanę prostytutką w moim wieku?

– Co też pani mówi... – oburzyła się Carmen.

– Chłopiec śpi. – Pokazała na Salvadora. – Zresztą wszystko mi jedno.

Rozgoryczona kobieta więcej się nie odezwała. Carmen pogłaskała syna po głowie, instynktownie chroniąc go przed wszelkim złem. Úrsula przywarła do starszej siostry i w sali pełnej aresztowanych osób, głównie mężczyzn, zapanowała martwa cisza.

Tymczasem w Carmen aż wrzało.

Rozpamiętywała stracone marzenia.

Jej matka została na wsi. Nie chciała opuścić domu pomimo błagań wnuków. Uparta jak zwykle, choć ciężko schorowana po tylu latach cierpień i wyrzeczeń.

Jaka jest granica wytrzymałości?

Jej matka sama w domu, a Ginés wciąż w koszarach; minie jeszcze rok albo więcej, zanim do nich dołączy.

Tak by chciała mieć przy sobie całą rodzinę...

Ginés był jej pociechą i nadzieją na lepsze życie.

Zaczynało się ściemniać. Perspektywa spędzenia nocy w tym miejscu napawała ją przerażeniem.

W głębi otwały się jakieś drzwi.

Dobiegło ich wezwanie:

– Carmen García Jumilla!

Zastygła ze zdziwienia. Fuensanta jednak zareagowała natychmiast:

– Tutaj!

– Carmen García z trójką dzieci? – grzmiał głos.

– Tak, już idziemy.

Zerwała się na nogi szybciej niż Úrsula. Matka obudziła Salvadora. Dziewczęta złapały za bagaże, zostawiając dla niej tylko tobołek z ubraniami. Carmen nie wypuszczała syna z objęć.

– Co się dzieje?

– Nie wiem, mamó, ale pośpiesz się, bo znowu będą się złościć...

Dotarli do drzwi. Reszta towarzyszy nieszczęścia spoglądała na nich niepewnie, zastanawiając się, czy życzyć im powodzenia, czy współczuć w niedoli. Mężczyzna stojący w drzwiach niczym nie różnił się od swych kolegów, którzy traktowali ludzi jak bydło. Nie okazując zrozumienia ani żadnych innych względów, wykonywał swoje obowiązki służbowe i nic poza tym go nie obchodziło.

– Macie iść za mną.

– Proszę pana...

– Milczeć! Pośpieszcie się.

– Jesteśmy bardzo zmęczeni. Dokąd pan nas?...

– Powiedziałem: milczeć!

W tym krzyku było coś więcej niż rozkaz. Popchnął ich w przejściu. Carmen potknęła się parę razy, jednak nie upadła i nie puściła Salvadora. Chłopiec zareagował na ten krzyk niespodziewanie ostro. Z natury spokojny, eksplodował agresją w obronie matki. Zaciskając pięści, odwrócił się do ich prześladowcy, zanim Fuensanta zdążyła go powstrzymać.

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

– I co, smarkaczu? Chcesz oberwać? – W jego głosie zabrzmiała groźba. – Od razu widać, że jesteś synem czerwonego. – Splunął na posadzkę. – Wiadomo, Kartagena była jednym z miast, gdzie banda komunistów broniła się aż do końca...

Fuensanta zasłoniła brata.

– Przecież to jeszcze dziecko.

– Kiedyś dorośnie, więc lepiej, żeby już teraz wiedział, co jest w życiu ważne, jeśli nie chce skończyć w więzieniu.

Na końcu korytarza pojawił się inny mężczyzna. Jego sylwetka odcinała się w świetle padającym przez uchylone drzwi.

– Masz ich wreszcie czy nie? – zapytał.

– Włoką się jak cholera! – odpowiedział ten, który ich prowadził.

Carmen szła z Salvadorem na przedzie. Úrsula zaraz za nimi, pochód zamykała Fuensanta. Z tyłu dobiegały ich wyzwiska strażników.

Stanęli w drzwiach.

Mieli przed sobą oświetlony pokój.

A w środku był... tak, to on.

Czekał na nich.

Nagromadzone napięcie, strach i emocje wylały się z nich w jednej chwili.

– Antonio!

– Tata!

– Carmen, Salvador, Úrsula, Fuensanta!

Na moment zapomnieli, gdzie się znajdują, i ten świat wydał im się naprawdę wspaniały.

6

Ulica była wąska i krótka, ale to była ich ulica, ich nowy horyzont. Dom stary i zaniedbany, ale to był ich dom, ich nowy świat. Na wąskich schodach bez światła cuchnęło kuchennymi wyziewami, które wżarły się w dawno nieodnawiane ściany. Po zniszczonych stopniach weszli na trzecie piętro. Długa podróż nareszcie dobiegała końca. Noc podziałała kojąco na ich stargane nerwy. Portier bez słowa otworzył bramę mimo późnej pory.

Úrsula i Salvador wciąż nie mogli wyjść ze zdumienia na widok tych wszystkich samochodów, tramwajów i przechodniów mijanych na wybrukowanych ulicach. Carmen dumnie uwiesiła się ramienia męża w poczuciu świeżo odzyskanej godności mężatki. Antonio obejmował drugim ramieniem Salvadora. Fuensanta milczała.

Na wsi nie widywała wielu mężczyzn.

Tutaj było ich za dużo.

Drzwi od mieszkania otworzyły się, zanim zdążyli zapukać, a może to Antonio przekręcił w zamku duży klucz, który trzymał w dłoni. W świetle przedpokoju zarysowały się sylwetki Benity i Anselma.

Nie widzieli ich od prawie dziesięciu lat, ponieważ tych dwoje wyjechało do Barcelony zaraz po wojnie, z pierwszą falą migrantów gotowych odbudowywać miasto ze zniszczeń i stawiać na nogi katalońską gospodarkę.

Zaczęły się przywitania, uściski, całusy i komentarze...

– Co się stało? Najedliśmy się przez was strachu!

– No bo...

– Benito, nic się nie zmieniłaś przez te wszystkie lata! Wydaje mi się nawet, że odmłodziłaś.

– Úrsulo, Fuensanto, no teraz to już z was prawdziwe panny!

– Anselmo, dziękuję ci za wszystko!

– Salvador tak wyrósł, że trudno go poznać!

Odstawili na bok walizki i tobołki, żeby rozejrzeć się po mieszkaniu. Było duże i ciemne: ich nowy świat składał się z jednakowych prostokątów, mnóstwa drzwi i korytarzy. Jeden pokój dla Carmen i Antonia, drugi dla Fuensanty i Úrsuli, trzeci dla Salvadora i Ginesa, kiedy ten dołączy do rodziny po zakończeniu służby wojskowej. Dwa pozostałe zajmowali Benita z Anselmem oraz ich jedynak, Rogelio, dwudziestotrzyletni młodzieniec, który obecnie pracował jako murarz na Costa Brava i dlatego nie zastali go w mieście. Wszystko było wspólne. Wszystko przygotowane do rozpoczęcia nowego życia.

Salvador wychylał się przez okno.

– Nie widać morza.

– Nie marudź z tym swoim morzem! – zaprotestowała Úrsula.

– Myślałem, że w Barcelonie z każdego miejsca widać morze.